

A.P. MIST

# NASZE

*dni*



*my  
M*



A.P. MIST

NASZE

dni

A small, stylized logo consisting of a crown above a cursive letter 'M'.

Copyright © by A.P. MIST  
Copyright © by Moje Wydawnictwo  
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Barbara Wrona (tekstnanowo.pl)  
Korekta: Agnieszka Liszowska  
Skład i łamanie tekstu: K&K Designer  
Projekt graficzny książki: K&K Designer  
Fotografia na okładce: Freepik.com  
Pomysł na okładkę: Moje wydawnictwo

ISBN Papier: 978-83-68837-08-7  
ISBN Ebook: 978-83-68837-10-0  
ISBN Audio: 978-83-68837-09-4



Moje Wydawnictwo

- 🌐 [www.mojewydawnictwo.pl](http://www.mojewydawnictwo.pl)
- ✉ [wspolpraca@mojewydawnictwo.pl](mailto:wspolpraca@mojewydawnictwo.pl)
- 📷 [mojewydawnictwo](https://www.instagram.com/mojewydawnictwo)
- 📺 [mojewydawnictwo](https://www.youtube.com/mojewydawnictwo)
- 🎵 [moje.wydawnictwo](https://www.spotify.com/moje.wydawnictwo)
- 📘 [mojewydawnictwo](https://www.facebook.com/mojewydawnictwo)



# PROLOG

Claire

W sali konferencyjnej panowała cisza – ciężka i dusząca, jakby ściany nasłuchiwały, co się wydarzy. Siedziałam przy długim mahoniowym stole, ze splecionymi dłońmi na kolanach i gotującą się złością pod zębami. Zegar na ścianie tykał głośniejsz niż zwykle. Klimatyzacja syczała. Mój ojciec zerknął na mnie, jakby oczekiwał, że zaraz się uśmiechnę i przytaknę. Ale nie mogłam. Nie teraz. Nie po tym, co usłyszałam.

– Małżeństwo to formalność – oznajmił chłodno. – Jeden rok. Tyle potrzebujemy, by transakcja przebiegła bez zakłóceń. Potem możecie się rozwieść, jeśli będziecie chcieli.

Użył liczby mnogiej. Jakbyśmy z Chase'em Blackwellem już istnieli jako „my”. Jakby łączyło nas coś poza przymusem i polityką rodzinną. Jakby ta decyzja była naturalnym następstwem logiki, niezłamanym głosem mojej wolnej woli.

Spojrzałam na niego. Siedział wyprostowany po drugiej stronie stołu, bez cienia emocji na twarzy. Miał na sobie garnitur w odcieniu granatu, mankiety koszuli były spięte złotymi spinakami. Idealnie wystudiowany chłód. Jego spojrzenie było uważne, analityczne. Oceniał mnie. Mierzył. Jakby szacował, ile jestem warta – nie jako osoba, ale jako pionek w jego grze.

Znałam go tylko z mediów i szeptów. Prezes potężnej firmy Blackwell Industries, bezlitosny negocjator, który przejął już trzy rodzinne imperia, zanim skończył czterdzieści lat. A teraz... mój przyszły mąż.

– To nie jest średniowiecze – syknęłam przez zaciśnięte zęby.  
– Nikt nie bierze dziś ślubu dla interesów.

Ojciec nawet nie drgnął.

– Nie chodzi tylko o interesy – odpowiedział. – To fuzja dwóch firm rodzinnych. Dwa pokolenia pracy. Dwa nazwiska mające szansę razem podbić rynki, których oddzielnie nigdy by nie dotknęły. Małżeństwo to sygnał. Stabilność. Jedność. Zaufanie. Akcjonariusze chcą widzieć, że jesteśmy zgrani. A nie... rozdzielni. Emocje muszą zejść na dalszy plan.

Emocje. Tak, właśnie one musiały zniknąć. Moje prawo do niezgody. Do lęku. Do tego, by oznajmić głośno, że nie chcę wiązać życia z mężczyzną, który nie zna mojego ulubionego koloru, nie wie, jaką kawę piję i nawet nie próbował spojrzeć mi w oczy przez ostatnie pół godziny.

– Nie jestem towarem – szepnęłam, nie odrywając wzroku od stołu.

– Nikt tak nie mówi – odezwała się cicho matka, jakby jej głos miał złagodzić wszystko, co brutalnie oczywiste. – Ale musimy myśleć przyszłościowo. To tylko rok. Rok, Claire. Potem wszystko będzie, jak chcesz.

Chciałam zapytać, co jeśli przez ten rok wszystko się rozpadnie? Co, jeśli zniknie to, kim jestem? Co, jeśli... przez ten rok nie będę sobą?

I wtedy typek się odezwał.

– Nie potrzebuję żony, ale potrzebuję gwarancji. – Jego głos był głęboki, pozbawiony cienia emocji. – I jeśli to cena, by ochronić swoje udziały i pozycję firmy, zapłacę ją. Nie jestem tu, żeby się bawić w sentymenty i się zakochiwać.

Poczułam, jak coś we mnie zamarza. Nie dlatego, że usłyszałam coś szokującego. Bo przecież wiedziałam, na czym to ma polegać. Ale usłyszeć na głos, że jestem ceną za coś i nawet sympatia nie wchodzi w grę, bolało bardziej, niż chciałam przyznać.

– Cieszę się, że jesteśmy tego samego zdania – odparłam, podnosząc wzrok. Wbiłam spojrzenie w jego oczy, ciemne jak nocne niebo. – Bo ja też nie planuję się zakochać.

Na moment w powietrzu zawisła cisza, a potem on skinął głową.

–W takim razie... podpiszmy ten cholerny papierek – mruknął.

Wyciągnięto dokumenty. Cztery kopie. Złote pióro. Nieruchoma ręka ojca. Twardy głos prawnika. To wszystko rejestrowałam mechanicznie, jakby działo się bez mojego udziału.

Podpisałam. Punkt po punkcie. Claire Bennett. Narzeczona z kontraktu. Przyszła pani Blackwell. I choć moje nazwisko nie zmieniło się jeszcze na papierze, w środku czułam, że już coś tracę. Siebie i własną wolność, a może nawet uciekały moje marzenia? Zaczęłam się przekonywać, że to tylko układ.

Rok życia w klatce z mężczyzną, który traktował miłość jak stratę czasu.

Dwanaście miesięcy, które miały przeminąć bez śladu.

Tylko że wtedy nie wiedziałam, że wszystko, co we mnie uśpione, zacznie budzić się właśnie przez niego, a to był początek naszych dni.

# ROZDZIAŁ 1

## Chase

Ludzie bacznie obserwowali. Z kieliszkami szampana w rękach, sztucznymi uśmiechami i oczami, które błyszczały nie z radości, a z czystej, bezwstydnego ciekawości. Udawali, że interesuje ich miłość – to romantyczne kłamstwo, które właśnie wystawialiśmy na scenie. Ale ja znałem prawdę. I wiedziałem, że oni też ją znali.

To był spektakl. Światło. Muzyka. Szum rozmów i migawki aparatów. A pośrodku tego wszystkiego – my. Claire i ja. „Idealna para nowego pokolenia biznesowego imperium”. Tak przynajmniej głosił dzisiejszy nagłówek w „Financial Weekly”.

Idioci.

Stałem przy marmurowym barze z kryształową szklanką whisky w dłoni, zerkając ukradkiem na dziewczynę, która rozmawiała z jakąś kobietą w czerwonej sukni. Wydawała się wyluzowana, jakby naprawdę dobrze się bawiła – ale znałem ten grymas. To była gra. Taka sama jak moja. Tylko że ona robiła to z większą gracją.

Claire Bennett. Dwadzieścia sześć lat. Najstarsza córka Thomasa Bennetta – człowieka, który z pozoru wciąż trzymał w garści swoją firmę, ale w rzeczywistości łapał się brzytwy, by nie utonąć. Jej matka z kolei miała ten rodzaj uśmiechu, który mówił: „Nie zawiedź mnie, bo zrujnujesz nasze nazwisko”. Cała ta uroczyść miała jeden cel – przekonać świat, że połączenie Blackwell Industries i Bennett Group to nie tylko transakcja, a romantyczny sen, który stał się rzeczywistością.

I właśnie dlatego musieliśmy zatańczyć.

Mimowolnie zacisnąłem zęby. Ten taniec miał być kulminacją wieczoru – momentem, w którym Claire wpadnie mi w ramiona, a ja spojrzę na nią tak, jakby naprawdę była kobietą mojego życia. Jakby to wszystko miało znaczenie.

– Chase. – Głos mojej matki wyciągnął mnie z myśli. – Już czas. Goście czekają.

Spojrzałem na nią. Perfekcyjna jak zawsze. Nosila prostą sukienkę od Diora, sznur pereł i nienaganny makijaż. Ona również potrafiła grać. Tyle że jej rola zaczęła się jeszcze zanim się urodziłem.

Skinałem głową. Odstawiłem szklanke na bar, poprawiłem mankiet koszuli i ruszyłem przez tłum, który rozstępował się przede mną z tą nieznośną mieszaniną respektu i chciwego podziwu. Claire stała już przy środku parkietu, z dłonią delikatnie uniesioną, gotową do gestu. Jej ciemnogrnatowa, opinająca biodra sukienka, błyszczała w światłach jak tafla spokojnego morza. I przez krótką, głupią chwilę pomyślałem, że naprawdę wygląda... pięknie.

Za młoda. Za dobra na to wszystko. Zbyt ambitna, by być narzędziem w rękach swoich rodziców.

Ale było już za późno.

Wziąłem ją za rękę. Była chłodna, ale pewna. Dziewczyna nie drżała. Nie okazywała emocji. Tak jak ja. Tylko jej oczy zdradzały, że pod tą maską coś się tliło. Może gniew. Może bunt. A może... rozczarowanie, że to właśnie ja jestem tym, którego jej wybrano.

Pociągnąłem ją lekko do siebie, prowadząc do rytmu spokojnego walca. Muzyka wypełniła przestrzeń. Parkiet był nasz.

– Uśmiechnij się – mruknąłem przez zaciśnięte zęby.

– Uśmiecham się – wycedziła. – Ty też mógłbyś spróbować, jeśli nie chcesz, żeby świat zobaczył, jak bardzo cierpisz.

Wbrew sobie parsknąłem cicho. Miała pazur. I język ostry jak brzytwa.

– Nie cierpię – odparłem. – Po prostu... nie jestem fanem teatrzyków.

– Ciekawe, bo gramy w jednym z największych. – Uniosła zaczepnie podbródek.

Przechyliłem ją delikatnie w bok. Była lekka, giętka, perfekcyjnie zsynchronizowana. I nawet nie zauważyłem, kiedy z rytmu tańca przeszliśmy w rytm wspólnej gry.

Wokół rozległy się oklaski. Fotografowie robili zdjęcia, migawki błyskały. Claire uniosła dłoń i dotknęła lekko mojej brody, jakby robiła to z czułością. Odpowiedziałem powolnym, intymnym przeciągnięciem kciukiem po jej talii. Tłum był zachwycony.

– Myślisz, że to kupili? – szepnęła, przysuwając się jeszcze bliżej.

– Jeśli nie – mruknąłem – możemy się pocałować, żeby mieć pewność.

Przez sekundę jej oczy zalśniły czymś, co trudno było rozszyfrować – rozbawieniem? Zaskoczeniem? Pogardą?

– Nawet nie próbuj – zawarczała cicho.

Uśmiechnąłem się. Szczerze. Może po raz pierwszy tego wieczoru.

Zakończyliśmy taniec w idealnej pozie. Claire lekko zadyuszana, ja z dłonią na jej plecach. Oklaski uderzyły jak fala. Spektakl się udał, ale kiedy odprowadziłem ją za kulisy sceny, gdy tylko światła przygasły i zostaliśmy sami na kilka sekund, odsunęła się ode mnie.

– Nie rób tego więcej – rzuciła chłodno. – Nie dotykaj mnie tak, jeśli nie musisz.

Przytaknąłem, choć nie powiedziała nic, czego sam bym wcześniej nie pomyślał.

Bo to była gra.

Tylko gra.

W głębi duszy jednak wiedziałem, że jeśli będziemy grać w to wystarczająco długo, przestaniemy rozróżniać, co było udawane, a co jest prawdziwe. I chyba właśnie to mnie niepokoiło najbardziej.

Kolejnego dnia odbywał się następny spektakl. Sala konferencyjna wyglądała jak dekoracja z katalogu dla zdesperowanych

milionerów próbujących sprzedać światu złudzenie klasy i potęgi. Białe obrusy, kwiaty w tonacji kremu i złota, a za naszymi plecami rozświetlony ekran z logo Blackwell-Bennett Holdings. Gdyby nie świadomość, że właśnie podpisujemy pakt z diabłem, pomyślałbym, że wszystko wygląda perfekcyjnie.

Przyciągnąłem mankiet koszuli, poprawiłem spinki i zerknąłem na Claire, która siedziała obok, nieco bokiem, z dłońmi złożonymi na kolanach. Wyglądała jak posąg. Nienagannie uczesana, z lekko podniesionymi brwiami i uśmiechem, który mówił: „Wiem, jak grać w tę grę i zamierzam wygrać”. Miała na sobie kremowy garnitur z satynowym wykończeniem, który podkreślał linię jej szyi i kości policzkowych. Nawet ja musiałem przyznać, że wyglądała piekielnie dobrze.

Ale w tych oczach, tak samo, jak wczoraj na parkiecie, wciąż tliło się to samo – zawód. I wściekłość. Nie na mnie. Na to, w czym musiała uczestniczyć.

– Dwie minuty – poinformował ktoś z obsługi technicznej. Światła padały na nas z góry, a przed stołem przydzielonym kłębił się tłum dziennikarzy. Dźwiękowcy regulowali mikrofony, operatorzy testowali ujęcia. Każdy chciał mieć swoje pięć sekund prawdy. Albo fałszu. Nikt nie zamierzał dociekać różnicy.

– Chase. – Nathan przysiadł obok mnie. Mój szef PR-u i jeden z niewielu ludzi, którym naprawdę ufałem. – Możesz jeszcze uciec. Helikopter czeka na dachu. Kierunek: Meksyk. Potem łódź i ślad po tobie zaginie.

– I zostawię ci Claire do tłumaczenia wszystkiego? – mruknąłem z przekąsem.

– Nie miałbym nic przeciwko – zaśmiał się krótko, po czym spoważniał. – Wiem, że to niełatwy wybór. Ale skoro już tu jesteśmy... postaraj się wyglądać, jakbyś tego bardzo chciał.

Spojrzałem na niego spod byka.

– Czyli mniej jak człowiek stojący nad krawędzią egzystencjalnej przepaści?

– Dokładnie tak. – Poklepał mnie po ramieniu. – I pamiętaj, mów krótko, pewnie, nie zdradzaj emocji. Ludzie i tak widzą tylko

to, co chcą zobaczyć. Wystarczy, że damy im ramkę, a resztę sobie dopowiedzą.

Odchyliłem się w fotelu i skrzyżowałem ręce. Byłem dobry w ramach. W tworzeniu obrazów, które nie miały nic wspólnego z rzeczywistością. Tylko że dziś po raz pierwszy ten obraz miał również dotyczyć kogoś innego. Claire. Kobiety, która nie powinna tu siedzieć. Która gdyby miała wybór, pewnie nigdy nie spojrzałaby na mnie więcej niż raz.

Światła przygasły, mikrofony włączyły się z charakterystycznym trzaskiem.

– Witamy państwa serdecznie na wspólnej konferencji prasowej Blackwell Industries i Bennett Group – zaczęła prowadząca. – Dzisiejszy dzień to nie tylko początek strategicznego sojuszu, ale też, jak państwo wiecie, ogłoszenie wyjątkowych zaręczyn naszych dziedziców: Claire Bennett i Chase’a Blackwella.

Oklaski. Błysk fleszy. I moje dłonie ściskające podłokietniki krzesła tak mocno, że aż zbieleły mi kłykcie.

Claire uśmiechnęła się szerzej. Kiedy nachyliła się lekko w moją stronę, jej włosy musnęły mój policzek. Pachniała jaśminem i czymś ostrzejszym – jak bezgłośna wojna w szklanej butelce.

– Gotowy? – zapytała półgłosem.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – Odwróciłem się w jej stronę i podniosłem dłoń, by delikatnie ją ująć. Wszystko dla kamery.

Claire nie zareagowała. Przysunęła się nieco bliżej, aż nasze ramiona się zetknęły. W obiektywie wyglądaliśmy jak zakochani. Jak para, która właśnie podjęła wspólną decyzję o przyszłości.

– Panno Bennet, jak się pani czuje z decyzją o zaręczynach? – padło pierwsze pytanie z sali.

Claire nachyliła się do mikrofonu ze słowami:

– To ogromny zaszczyt być częścią tak ważnego kroku. Zarówno dla naszych rodzin, jak i dla firm, które reprezentujemy. Cieszę się, że to Chase... – spojrzała na mnie – ...jest osobą, z którą mogę wejść w ten nowy rozdział.

Sztuka. Mistrzostwo. Nawet ja poczułem przez moment, że to brzmi prawdziwie.

– Chase? – Kolejne pytanie skierowano do mnie. – Czy to była miłość od pierwszego wejrzenia?

Uśmiechnąłem się, pozwalając sobie na krótką pauzę.

– Myślę, że kiedy ktoś pojawia się w twoim życiu w najmniej spodziewanym momencie i kompletnie je przewraca, trudno nie zwrócić uwagi. Claire... – odwróciłem głowę w jej stronę – ...jest kobietą, której się nie zapomina. Od początku wiedziałem, że będzie kimś ważnym.

Prawda. Przynajmniej połowiczna. Bo Claire rzeczywiście była kimś, kogo się nie zapomina, nawet jeśli całe to przedstawienie miało trwać tylko krótką chwilę.

Po konferencji, gdy już zeszedliśmy z podium i przeszliśmy do tylnego foyer, Claire od razu odsunęła się na bezpieczną odległość. Nathan natomiast podszedł do mnie z wyrazem twarzy, który sugerował, że ma mi coś do powiedzenia.

– Nie sądziłem, że to powiem, ale... nie byłś tragiczny.

– Dzięki. – Poklepałem go po ramieniu. – Może kiedyś spróbuję sił w aktorstwie.

– A tak poważnie – zniżył głos i spojrzał znacząco – ona ci się podoba.

Zamrugąłem.

– O czym ty mówisz?

– Widziałem, jak na nią patrzysz. Nie próbuj zaprzeczać. Znasz mnie.

Odetchnąłem ciężko.

– Może i jest piękna – przyznałem. – Może nawet... zbyt dobra na ten świat. Ale to nie ma znaczenia. Bo to wszystko to gra. Ustalone reguły. Umowa. Konsekwencje.

Nathan spojrzał na mnie z pobłażaniem.

– A jeśli te reguły cię kiedyś złamią?

– Wtedy – powiedziałem cicho – złamię je pierwszy.

## ROZDZIAŁ 2

Claire

Gdy tylko zamknęły się za mną drzwi apartamentu, oparłam się o chłodną ścianę i pozwoliłam sobie na pierwszy głęboki oddech tego dnia. Sukienka, idealnie skrojona i wyprasowana przez osobistą stylistkę mamy, nagle zaczęła mnie dusić, jakby każdy jej szew przypominał o tym, co właśnie zrobiłam.

Zaręczyłam się. Publicznie. Na oczach dziesiątek dziennikarzy, kamer i inwestorów. Z mężczyzną, który – choć nie mógł być bardziej odpowiedni w oczach naszej rady nadzorczej – był dla mnie niemal całkowicie obcy. A jednak trzymał moją dłoń, jakbyśmy robili to od lat. Patrzył na mnie z czułością tak przekonującą, że sama zaczęłam wątpić, co jest prawdą, a co grą.

Ruszyłam w stronę sypialni, zdejmując po drodze kolczyki i rzucając je na marmurowy blat komody. Szpilki kopnęłam pod fotel, a potem usiadłam na skraju łóżka, trzymając się za kark, jakbym próbowała rozmasować napięcie, które tam zakwitło jeszcze przed śniadaniem.

– Niezłe się dziś spisałaś. – Głos mojej siostry rozległ się z salonu. – Powinnaś rozważyć karierę aktorki. Może w jakimś serialu o bogatych i znudzonych?

Westchnęłam, podnosząc głowę. Nellie. Oczywiście, że tutaj była.

– Nie wiesz, kiedy się poddać, co?

– Nigdy – rzuciła z zadowoleniem, zjawiając się w progu z kieliszkiem Prosecco w dłoni i zbyt szerokim uśmiechem. Jej włosy spięte były w niedbały kok, a dżinsy z wysokim stanem i biały top

sugerowały, że dla niej to był po prostu kolejny czwartek, nie dzień wystąpienia jej siostry na pierwszych stronach gazet. – Poza tym przyszedłam zobaczyć, czy jeszcze żyjesz.

– Nie wiem. Jeszcze to rozważam.

Przeszła przez pokój, usiadła obok mnie i podała mi kieliszek.

– No już. Zasłużyłaś. Toast za nową panią Blackwell.

Zawahałam się, ale wzięłam łyk. Alkohol był lekki, orzeźwiający. Nie robił jednak nic, by ugasić ten wewnętrzny ogień, który tlił się gdzieś pod mostkiem.

– Czy ty naprawdę tego nie widzisz? – zapytałam, odstawiając szkło na stolik. – To wszystko... to cyrk. Maskarada, bo nasi rodzice nie potrafią przyznać, że przegrali.

– Oczywiście, że widzę – powiedziała Nellie z nutą oburzenia. – Ale Claire... spójrz na to z innej strony. Masz przystojnego, wpływowego narzeczonego. Będiesz żoną najpotężniejszego mężczyzny w tej części kontynentu. Na twoim miejscu większość dziewczyn by się cieszyła.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem.

– Ty też?

– Może. – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem. Ja jestem dla niego za młoda, ale ty... Na pewno nie narzekałabym tak głośno. Chase Blackwell to nie jest byle kto, Claire. To facet, o którym piszą w „Forbesie”, a nie na plotkarskich portalach. I patrzył dziś na ciebie, jakbyś była wszystkim, czego kiedykolwiek chciał.

Zacisnęłam dłonie na kolanach.

– Bo musiał.

– Może. Ale nie udawaj, że to nie działa w obie strony. Widziałam cię, Claire. Jak patrzyłaś na niego, jak słuchałaś, kiedy mówił. Jesteś zła. Frustrowana. Ale też... chyba trochę zafascynowana.

Opuściłam wzrok.

– Nie o to chodzi. Chodzi o to, że nie mam wyboru. Mama i tata wmanewrowali mnie w coś, z czego nie mogę się wycofać. Jeśli to wszystko się rozpadnie, upadnie też firma. A z nią cała nasza rodzina. Nasze nazwisko.

– Więc to dźwigasz. Jak zawsze.

Atmosfera między nami zgęstniała. Po chwili milczenia moja młodsza siostra odezwała się cichszym głosem.

– Wiem, że to dla ciebie trudne. Wiem, że nigdy nie chciałaś być pionkiem. Ale czasem... może warto zagrać rolę, póki nie stanie się prawdą.

Spojrzałam na nią. Jej oczy były łagodne. Niezwykłe jak na nią.

– On ci się podoba, Claire. Nie zaprzeczaj.

– Jest... fascynujący – przyznałam po chwili. – Inteligentny. Powściągliwy. Ma tę swoją lodowatą maskę, ale... czasem coś spod niej przebija. I nie mogę przestać się zastanawiać, co tam jest.

– To już coś.

Wstała i podeszła do okna. Za szybą światło miasta migotało tysiącem refleksów.

– Wiesz, Claire... ja nie zazdroszczę ci tej farsy. Ale zazdroszczę ci szansy. Bo jeśli już masz kogoś udawać, dobrze, że to ktoś taki jak Chase Blackwell ci w tym towarzyszy.

– A jeśli to właśnie problem? Jeśli zacznę wierzyć w to, co mamy tylko udawać?

Nellie odwróciła się, uśmiechając się półgębkiem.

– Wtedy może wcale nie będzie trzeba udawać.

Nie skomentowałam tego. Nie dlatego, że nie miałam słów – po prostu się ich bałam. Bałam się, że są zbyt prawdziwe. Że z każdym kolejnym wystąpieniem, kolejnym spojrzeniem, kolejnym dotykiem jego dłoni, ta fikcja przestanie być tylko rolą, a stanie się czymś, czego nie będę mogła już kontrolować.

\*\*\*

Deszcz bębnił leniwie w szyby, rozciągając mleczną zasłonę na tle panoramy miasta. Siedziałam przy stoliku w salonie, przewracając strony magazynu, którego treść kompletnie mnie nie obchodziła. Zdjęcia modelek, artykuły o trendach, wywiady z kimś, kto miał właśnie pięć minut sławy. Nic, co mogłoby zająć moje myśli na dłużej niż kilka sekund.

Myślałam o konferencji. O spojrzeniach Chase'a. O tym, jak łatwo przyszło mu kłamać. I jak łatwo mi przyszło udawać, że w to wierzę.

Z zamyślenia wyrwał mnie dźwięk domofonu. Zdezorientowana uniosłam wzrok, bo nie spodziewałam się nikogo. Nellie była u chłopaka, a moi rodzice... cóż, raczej nie należeli do osób wpadających bez zapowiedzi.

Podniosłam słuchawkę.

– Tak?

– Zejdź na dół. Mamy rezerwację. – Jego głos był chłodny, pewny siebie.

– Słucham? Co? Jaką rezerwację?

– Kolacja. Pół godziny temu wysłałem ci wiadomość.

Spojrzałam na telefon, gdzie nieodczytane powiadomienie rzeczywiście czekało w rogu ekranu. Skrzywiłam się.

– A co, jeśli mam inne plany?

– W takim razie będziesz musiała je odwołać. Czekam przy wejściu. – Rozłączył się.

Stałam chwilę, wpatrując się w słuchawkę, jakby mogła udzielić mi odpowiedzi, co właśnie się wydarzyło. Westchnęłam. Z jednej strony miałam ochotę udowodnić mu, że nie może po prostu zjawiać się nagle i rozkazywać, jakby był reżyserem całego tego spektaklu. Ale z drugiej... dobrze wiedziałam, że powinnam tam pójść. Dla dobra układu. Rodziny. Nazwiska.

Szybko przeszłam do garderoby, szukając czegoś odpowiedniego. Nie chciałam wyglądać, jakbym się starała, ale też nie mogłam wyglądać, jakbym nie starała się wcale. Ostatecznie sięgnęłam po czarną jedwabną sukienkę o prostym kroju i narzuciłam na ramiona beżowy płaszcz. Włosy spięłam nie dbale, tusz poprawiłam w windzie. Gdy drzwi się otworzyły, Chase stał naprzeciwko w czarnym płaszczu i granatowym garniturze, z telefonem przy uchu.

Spojrzał na mnie, rozłączając rozmowę. Jego wzrok przesunął się po mnie powoli, nie nachalnie, ale z taką dokładnością, że poczułam, jak żołądek zaciska mi się w supel.

– Gotowa?

– Zależy, dokąd mnie wywozisz.

– Na kolację. Z partnerami. Nic osobistego.

Oczywiście, że nie. Westchnęłam i ruszyłam za nim do samochodu. Otworzył mi drzwi, a kiedy wsunęłam się do środka, poczułam znajomy zapach skóry, cedru i czegoś, co przypominało lawendę. Chase niemal bezszelestnie zajął miejsce obok.

– Mogłeś uprzedzić wcześniej – mruknęłam, zapinając pas.

– Chciałem zobaczyć twoją naturalną reakcję. – Odwrócił się w moją stronę. – I wyglądasz na całkiem zaskoczona.

– Może dlatego, że jestem zaskoczona.

– A jednak wsiadłaś.

Spojrzałam przez okno, nie odpowiadając. Droga była spokojna, światła ulic odbijały się w mokrym asfalcie. Cisza między nami była gęsta, ale nie niewygodna. Raczej naładowana czymś, co wisiało w powietrzu od konferencji.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że to kolacja z partnerami? Może nie jestem odpowiednio ubrana – odezwałam się po chwili.

– Bo nie chciałem, żebyś się wycofała.

Prychnęłam cicho.

– Mówisz to, jakbym była niestabilna emocjonalnie.

– Nie. Mówię to, jakbyś była inteligentna i świadoma, kiedy coś zaczyna cię przerastać.

Zerknęłam na niego kątem oka. Siedział oparty wygodnie, jakby wszystko w tej sytuacji było dla niego codziennością. Może było. Ale ja nadal czułam, że moje życie ktoś napisał w niezrozumiałym dla mnie języku.

– A ty? Nie masz dość udawania?

– Nie udaję. – Jego głos był spokojny. – Po prostu realizuję plan.

– Czasem zastanawiam się, co jest dla ciebie planem, a co prawdą. Odwrócił głowę, a nasze spojrzenia się spotkały. W jego oczach nie było ani kpiny, ani chłodu. Było coś... innego.

– Może jeszcze nie zdecydowałem.

Zamilkłam. Bo wbrew logice, wbrew wszystkiemu, co powinienam czuć, pojawiło się ciepło, które wpełzło mi gdzieś pod skórę. I nagle nie wiedziałam już, co jest tylko grą.

# ROZDZIAŁ 3

## Chase

Kiedy zapiąłem ostatni guzik mankietu, przesunąłem spojrzeniem po własnym odbiciu w lustrze. Idealnie skrojona koszula, nienagannie ułożone włosy, chłodny wzrok. Patrzyłem w twarz człowieka, który wszystko kontroluje. Tylko że tego wieczoru kontrola nie przyniosła mi satysfakcji. Tego wieczoru czułem... napięcie. I złość. Tę nieznośną, drażniącą irytację, z którą nie potrafiłem sobie poradzić.

Claire wyglądała zjawiskowo. Już od chwili, gdy stanęła przede mną, kiedy zjawiłem się bez zapowiedzi, wiedziałem, że jej obecność będzie problemem. Nie dlatego, że nie pasowała do tego biznesowego świata. Przeciwnie – wyglądała tak, jakby urodziła się, by w nim istnieć. Ale pod tą elegancją, pod perfekcyjnym makijażem i drogą kiecką było coś, czego nie mogłem zignorować. Ona wciąż miała... wiarę. W ludzi, w słowa, w gesty. I to działało mi na nerwy.

W restauracji wszystko poszło zgodnie z planem. Dobre światło, odpowiednie twarze dookoła, uściski, toast, nawet taniec. Obserwowałem ją kątem oka – nie wymknęła się ani na moment. Uśmiechała się w odpowiednich momentach, śmiała wtedy, gdy należało. Doskonała partnerka w tej farsie. Ale kiedy dotknęła mojego ramienia podczas tańca i szepnęła coś o czułości, coś we mnie drgnęło. A nie powinno.

Nie mamy tego luksusu. Nie jesteśmy w tej grze z wyboru. Ona robi to, bo musi. Ja robię to, bo... sobie ją wybrałem. Jako poróżnienie.

W drodze powrotnej milczałem. Każde słowo wydawało się zbędne, każde spojrzenie niebezpieczne. Czułem, jak gromadzi się we mnie coś niezrozumiałego. Wściekłość? Zazdrość? Litość? Wszystkie te uczucia były zbędne. Bezużyteczne. A mimo to bużowały w moim wnętrzu.

Zatrzymałem auto i rzuciłem jej przelotne spojrzenie. Takie samo, jakim obdarzyłbym każdego współpracownika, którego chcę trzymać na dystans.

– Ślub odbędzie się za dwa tygodnie – oznajmiłem. – Moi ludzie wszystkim się zajmą. Ty masz się tylko pojawić.

Widziałem, jak zamarła. Jej oczy, dotąd pełne iskier i ciepła, przygasły. A ja... nawet nie drgnąłem. Nie dlatego, że nie obchodziło mnie, jak zareaguje. Tylko dlatego, że gdybym pozwolił sobie na chwilę słabości, nie zdołałbym już wrócić na bezpieczną pozycję.

– Dwa tygodnie? – Jej głos był cichy, ledwie słyszalny.

– Im szybciej, tym lepiej.

– Załatwimy to jak kontrakt z terminem ważności, tak?

Beznamiętnie skinąłem głową.

– Dokładnie tak.

Otworzyła drzwi i wysiadła bez słowa. Widziałem w lusterku, jak się oddala. Zniknęła, jakby jej obecność nigdy nie była niczym więcej niż drobnym przypisem w moim poukładanym życiu.

Odjechałem, czując w klatce piersiowej napięcie, którego nie potrafiłem rozładować. Palce zaciskały się na kierownicy mocniej niż trzeba, a szczęka była napięta. W głowie kotłowały się zdania, które mogłem wypowiedzieć, ale nie przeszły mi przez gardło.

*Nie jesteś tylko pionkiem.*

*To nie twoja wina.*

*Nie zasługujesz na to.*

Ale milczałem. Bo tak było łatwiej. Bo to były kłamstwa...

Podziwiałem ją. To fakt. Była piękna, odważna, miała w sobie coś... żywego. I być może właśnie dlatego chciałem to zdusić. Bo przypominała mi, że istniało coś więcej niż obowiązki, kontrakty, terminy i gra pozorów. Przypominała o tym, co ja dawno postanowiłem wyciąć z życia.

Gdy wróciłem do domu, spojrzałem na szklaną butelkę stojącą na komodzie, ale jej nie dotknąłem. Wiedziałem, że jeśli zacznę, nie skończę na jednym drinku. Zdjąłem marynarkę, rozpiąłem kołnierzyk i usiadłem w fotelu, bez muzyki, bez światła. I po raz pierwszy od dawna nie myślałem o firmie, o inwestycjach ani o najbliższych krokach.

Myślałem o niej.

I to właśnie wkurwiało mnie najbardziej.

\*\*\*

Dzień w biurze był piekielnie zwyczajny. Wypełniony dokumentami, spotkaniami, podpisami i milczeniem. Słuchając prezentacji działu finansowego, nie rejestrowałem nawet połowy tego, co mówili. Przystawiłem się na tryb automatyczny – przytakiwałem, zadawałem pytania, od czasu do czasu podkreślałem coś na ekranie, choć tak naprawdę myślami byłem gdzieś daleko.

A właściwie z kimś.

Nienawidziłem tego, że imię Claire przemykało mi przez myśl jak echo niechcianego wspomnienia. Miała pojawić się w moim domu, zamieszkać wśród marmurów, które przez lata były moją ostoją. I choć to wszystko było zaplanowane, ustalone, logiczne – nie mogłem pozbyć się uczucia, że tracę kontrolę.

Zamknąłem laptopa z nieco zbyt ostrym trzaskiem, przez co asystentka spojrzała na mnie nerwowo. Skinąłem głową, dając znak, że może już wyjść.

– Wszystko, panie Blackwell? – zapytała ostrożnie.

– Na dziś wystarczy. Jutro zaczynamy od audytu. Nie chcę spóźnień.

– Oczywiście.

Gdy drzwi się zamknęły, oparłem się o skórzany zagłówek fotela, patrząc przez przeszkloną ścianę biura na panoramę miasta. Wysokie wieżowce tonęły w popołudniowym słońcu, które odbijało się od szyb i złotych fasad. Wszystko wyglądało jak z katalogu. Dokładnie tak jak moje życie. Aż do teraz.

Kiedy wreszcie wróciłem do domu, było już po zmroku. Krawat zsunąłem zaraz po wejściu, marynarkę rzuciłem niedbale na konsolę w holu. Mój dom był chłodny, perfekcyjny, pozbawiony życia. Obsługa przemykała bezgłośnie, jakby nikt nie śmiał tu oddychać pełną piersią. I tak miało być – nikt, poza mną, nie miał się tu czuć jak u siebie.

Wkrótce jednak miało się to zmienić.

Zatrzymałem się na końcu korytarza prowadzącego do skrzydła dla gości i skinąłem głową w stronę gospodyni, która pojawiła się bezszelestnie.

– Panna Bennett wkrótce przyjedzie. Przygotujcie dla niej sypialnię na końcu południowego korytarza.

Kobieta uniosła delikatnie brwi, niemal niezauważalnie, ale znałem ją na tyle długo, by wyłapać każdy cień reakcji.

– Najdalsza od pańskiej? – dopytała drżącym głosem.

– Dokładnie. Ma mieć wszystko, czego potrzebuje. Garderoba, osobna łazienka, świeże kwiaty. I proszę zadbać, żeby zawsze ktoś był w pobliżu, gdyby czegokolwiek zażądała. Bez żadnych pytań.

– Rozumiem. Czy mam przygotować również wspólną przestrzeń...?

– Nie będzie potrzebna – przerwałem jej chłodno. – Wspólne będą tylko nazwiska i zdjęcia w prasie. Nic więcej.

Zamrugnęła szybko i skinęła głową, zanim się oddaliła.

Stałem przez chwilę w korytarzu, spoglądając w głąb pustego domu. Z jakiegoś powodu wydawał się jeszcze bardziej rozległy, jeszcze bardziej obcy. Może dlatego, że pierwszy raz miałem go dzielić z kimś innym. A może dlatego, że dobrze wiedziałem, że ten ktoś nie jest kobietą, którą można było zignorować.

Miała w sobie spokój i siłę jednocześnie. I choć próbowałem jej to wybić z głowy chłodem i milczeniem, wiedziałem, że ona to czuje. Że dostrzega te rysy, przez które czasem coś przeciekało. A do tego nie mogłem dopuścić.

Udałem się do swojej sypialni i zamknąłem za sobą drzwi. Zdjąłem zegarek, wrzuciłem go do szuflady i rozpiąłem koszulę.

W łazience przemyłem twarz zimną wodą i spojrzałem na siebie w lustrze. Oczy miałem zmęczone, ale czujne jak zawsze.

Pomyślałem o reakcji Claire, gdy powiedziałem o ślubie. O tym, jak mocno zacisnęła usta, by nie zareagować impulsywnie. Zachowała twarz. Tak, jak ją wychowano.

To był teatr. Owszem. Ale gdzieś w głębi miałem świadomość, że zagraliśmy już kilka scen zbyt przekonująco. Za tydzień będzie mierzyć suknię, wybierać kwiaty. Mój świat, mój dom, moje zasady – wszystko to miała dostać na tacy. I choć powtarzałem sobie, że to tylko układ, że nie ma w tym nic osobistego, nie mogłem wyzbyć się tego dziwnego, rozedrganego napięcia, które czułem, odkąd pojawiła się przede mną w sali konferencyjnej. Zaprezentowana jak towar na ulicznym targu.

Miała być tylko narzędziem.

A tymczasem... coś drgnęło. Minimalnie. Niezauważalnie. Ale wystarczająco, bym to poczuł.

Położyłem się w zimnej pościeli i patrzyłem w ciemność. Nie wierzyłem w przeznaczenie ani znaki, ale tej nocy pomyślałem, że może ten ślub wcale nie będzie najtrudniejszym etapem, a najtrudniejsze dopiero przede mną.

Ciemność była gęsta jak smoła. Wokół nie było nic poza martwą, duszną ciszą, która zdaje się oplatać swoimi mackami i dławić. Stałem pośrodku pustki, choć nie wiedziałem, gdzie dokładnie się znajduję. Grunt pod moimi stopami był zimny i wilgotny, jakby oblepiała go krew, błoto albo coś znacznie gorszego.

Widziałem tylko urwane fragmenty, chaotyczne obrazy, jakby moje własne wspomnienia były porozrzucane i splątane w coś, czego nie potrafiłem poskładać. Kobieta. Jej sylwetka znikwała za drzwiami, które nigdy się nie domykały. Głos dziecka i płacz, który wbijał się w moją czaszkę jak nóż.

– Nie teraz – wyszeptalem nie wiedząc, do kogo mówię. Mój głos odbił się od nicości i wrócił do mnie zniekształcony, jakby należał do kogoś innego.

Zacząłem iść. Nogi poruszały się wolno, jakby coś trzymało mnie za kostki, próbując zatrzymać. Ale musiałem tam dojść.

Musiałem zobaczyć. Zrozumieć. Mimo że każda komórka mojego ciała krzyczała, by zawrócić. Uciec.

W mroku pojawiły się drzwi. Drewniane, stare, z wrytymi śladami paznokci. Kiedy wyciągałem dłonie, by ich dotknąć, zadrały. Były gorące. Zza nich dobiegał głos.

– Chase... Uciekaj.

Drzwi otworzyły się same, a za nimi zobaczyłem ciemną postać.

Wszystko było zniszczone. Pokój. Ściany. Łóżko. Cienie tańczyły w czerwonym świetle jak upiory, które wróciły po coś, co im odebrałem. Stałem nieruchomo, z łomoczącym sercem i sztywnymi kończynami. Przede mną znów zamigotała ciemna sylwetka. Ktoś... ktoś na mnie patrzył.

Nie mogłem się poruszyć.

Nie mogłem nic zrobić.

Głuchy huk. Krzyk. I cisza, która po nim zapadła, była jeszcze bardziej złowroga niż ogień.

Zerwałem się z łóżka gwałtownie, z gardła wyrwał mi się jęk, a po karku spłynął pot. Gardło miałem suche jak papier, a serce waliło niczym młot o klatkę piersiową. Pokój był ciemny, ale znajomy – surowy, pozbawiony ciepła, dokładnie taki, jakim go urządziłem. Moja samotnia.

Oddech powoli wracał do normy, choć w głowie wciąż słyszałem echo imienia, które wypowiedział ktoś we śnie. Imienia, którego nie potrafiłem już sobie przypomnieć.

Usiadłem na brzegu łóżka, opierając łokcie na kolanach, dłonie złożyłem w pięści.

To tylko sen.

Ale wiedziałem, że to nieprawda. To nie był zwykły sen, bo wracał do mnie zbyt często i znałem go niemal na pamięć.

Przeszedłem do łazienki i opłukałem twarz zimną wodą. Spojrzałem w lustro. Zobaczyłem w nim mężczyznę, który coraz rzadziej rozpoznawał samego siebie.

Była trzecia w nocy, a ja wiedziałem, że już nie zasnę.